WIADOMOŚCI ILUSTROWANE.

№ 27. Wilno, 6 (19) lipca 1914 r. Rok II.

Cesarz austrjacki z nowym następcą tronu.

Powrót z pola.

Lipy kwitną.

Już lipa roztula
Słoneczny swój puch,
A dalej tam z ula
Na pracę, na ruch!
A dalej tam z ula
Na pole, na znój,
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Ta stara pasieka
Na plon czeka nasz,
My lecim od wieka
Z łąk kwietnich i z pasz.
My lecim od wieka
I trud niesiem swój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I brzęczy i radzi.
Złocisty nasz wiec,
Jak Bożej czeladzi
Pracować, jak ledz,
Jak Bożej czeladzi
W ten bratni iść strój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Nas budzi świat mglisty,
A spędza nas noc,
Gdy z lipy ojczystej
Żar bierzem i moc,
Moc życia żar czynu,
Na mir i na bój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

I w kropli my miodu
Niesiemy w nasz ul
Prastarą woń rodu,
Co wiedzie się z pól,
I słodycz my pieśni
Sączymy w serc zdrój...
Piastowe my pszczoły,
Piastowy my rój!

Marja Konopnicka.

A my co?

Siłę i wpływy wojującego z nami nacjonalizmu rosyjskiego wszyscy znamy doskonale...

Doceniamy również potęgę żydów. Świetnie zorganizowani, solidarni i karni rozporządzają ogromnemi funduszami i wpływami. Dość powiedzieć, że cały handel u nas, nie wyłączając kolportażu pism, jest w ich rękach; wszystkie prawie dzienniki rosyjskie, tak bardzo rozpowszechnione wśród ludności polskiej na Litwie, są wydawane i redagowane przez żydów.

Obóz, wreszcie, litwomański rośnie w siły. Opiera się on z jednej strony na duchowieństwie, z drugiej — na sojuszu z nacjonalizmem rosyjskim. W ostatnich czasach zyskał pomoc niespodziewaną: rządy w djecezji żmudzkiej przeszły w ręce, opanowane żądzą walki z Polakami.

Trzy te czynniki: nacjonalizm rosyjski, żydowstwo i duchowieństwo litwomańskie, jakkolwiek mają różne cele, wspierają sie nawzajem w walce z nami. Ślepyby dziś tego nie widział. Wszyscy oni zamierzają się obłowić na nasz koszt. Jednym chodzi głównie o pozyskanie dla siebie jak największej ilości dusz polskich. Innym — o wyrwanie nam z pod nóg podstaw materjalnych bytu. A każde chce rządzić się w kraju, jak szara gęś.

Siły tych trzech czynników nie należy lekceważyć, tem bardziej, że za niemi stoją jeszcze różni mniej lub więcej możni sprzymierzeńcy.

Cała ta spółka dobrana nie przebiera w środkach gnębienia nas i pracuje z energją niemałą.

A my co?

Zadowalniamy się wytykaniem nikczemności nieprzyjaciół naszych. Poza tem robi się nadzwyczaj mało ku obronie dusz polskich od wynarodowienia i dóbr naszych od utraty. Żyjemy tak, jakbyśmy sobie nic nie mieli do wyrzucenia, a poprawa losu naszego zależała wyłącznie od nawrócenia się na drogę cnoty wrogów.

Serajewo. Duży gmach z prawej strony rzeki przedstawia ratusz, w okolicy którego dokonano zamachów.

Gdyby raz wreszcie każdy z nas zrozumiał, co nam grozi! zastanowiłby się nadtem, jak się bronić należy, i przestał być jedynie widzem w życiu narodowem.

Trzeba strzedz od wynarodowienia dusze polskie i wznosić fundamenty pod gmach dobrobytu naszego. Niech każdy pomyśli, co on w tym kierunku zrobić może i powinien.

Wrogowie narodu naszego są wrogami każdego z nas.

Zakaz.

Gubernatorowie: wileński, Wierowkin i grodzieński, Szebeko wydali postanowienia obowiązujące, które zakazują wszelkiej agitacji przeciwko sprzedaży przez Polaków majątków ziemskich Bankowi włościańskiemu lub osobom pochodzenia rosyjskiego. Wzbronione jest również ogłaszanie w pismach nazwisk osób, sprzedających.

Winni przekroczenia w trybie administracyjnym skazywani będą na 500 rb., z zamianą na areszt 3-miesięczny.

Ci, którym wszystko jedno.

W lipcowym numerze miesięcznika warszawskiego „Kłosy" p. Stanisław Pieńkowski zwraca uwagę na jedną z plag życia naszego, pisze o tych, którym „wszystko jedno", kiedy chodzi o sprawy narodowe.

„Jest to ciekawa klasa ludzi wykształconych — pisze St. Pieńkowski — klasa wyłączna i, jak się zdaje, wyłączny wytwór życia polskiego — ci ludzie, którym wszystko jedno..."

Główny ich zastęp stanowią literaci, artyści i inteligencja miejska wolnych zawodów. U żadnego chłopa, u żadnego nieuka nie można spotkać takiej ślepoty na palące zagadnienia narodowe, jak właśnie wśród owych kulturalnych i sztuką zajmujących się ludzi. Krótkowzroczność ich, buta wynosząca się ponad „poziome" sprawy gospodarcze, społeczne i polityczne, nieuctwo i złośliwość nie mają sobie równych. A wszystko to razi tembardziej, że czują się oni powołani do rozstrzygania wszelkich spraw z góry i osłaniają się skłębionemi mgłami frazesów oraz cięciami taniego, a popłatnego dowcipu.

Jeszcze najmniej szkodliwą część tych ludzi stanowią ciemni i milczący. Ożywieni i sprawni umysłowo w dziedzinie sztuki, filozofji, lub nauki, milkną nagle, gdy rozmowa się wtoczy na tory bytu i zadań narodu polskiego. Cudzoziemiec mógłby tu ze zdumieniem

najwyższem oglądać dawno w swym kraju wymarły typ człowieka wykształconego, który jednocześnie z punktu widzenia społecznego jest dzikusem, dwóch myśli złożyć nieumiejącym. Tępa bezmyślność patrzy z jego oczu, znużenie na czole jego osiada, a gdy rozmowa się przeciąga, czuje się najwyraźniej, że człowiek ten znajduje się na pustyni, w której nic go nie ciekawi, w której nic nie widzi. I w istocie jest on na pustyni: to człowiek obcy, może jedynie zawodem swym związany z narodem, ale jako obywatel narodu — żaden do żadnego ruchu nie zdolny, w najprostszych obowiązkach życia narodowego nie orjentujący się i bezczynny. Niektórzy z nich nawet za punkt honoru sobie mają i szczycą się tem, że na „tych tam sprawach społecznych" się nie znają.

Daleko gorszym typem jest, jak go p. Pieńkowski nazywa, cynik społeczny. Człowiek ten — zazwyczaj w imię wyższych ideałów — drwi ze wszystkiego i gardzi wszystkiem, co dotyczy materjalnych i fizycznych podstaw bytu narodowego. Nie znaczy to jednak, aby sam nie dbał o dobry codzień obiad i wygodne mieszkanie. Owszem najczęściej pośród nich trafiają się olimpijczycy, epikurejczycy, esteci, dyletanci, karjerowicze wreszcie, a w każdym razie osoby solidne, dbające bardzo o swój byt materjalny — swój i swojej rodziny. Stają się oni jednak niezmiernie wzniosłemi idealistami w chwili, gdy chodzi o byt materjalny wielkiej ich rodziny—narodu. Dziwna zmiana!

Brak poczucia społecznego i narodowego, nieumiejętność organizowania się, wybujały egoizm jednostek — wszystkie te wady w stopniu aż nazbyt wielkim posiadają szerokie warstwy narodu naszego, lecz tam są owe wynikiem ciemnoty i niewyrobienia, nie kryją się osłoną żadnych teorji i zasad.

Stąd też o ile do najszerszych warstw można nieść światło idei narodowej z tą otuchą i pewnością, ze nikt go szyderstwem nie zgasi, chociaż z trudem przenika ciemności umysłów, o tyle do tych wykształconych i kulturalnych ludzi, którym wszystko jedno, podchodzić trzeba zawsze uzbrojonym w ogrom cierpliwości i zimnej krwi, bowiem niema stworzenia zjadliwszego od nich i niema tak krętych dróg myślowych i tak fałszywych argumentów logicznych, którychby oni zawahali się użyć.

Kiedy powstało hasło wojny ekonomicznej z żydowskim zalewem, wszystkojednicy nasi byli niewyczerpani w drwinach na temat „łokcia", „sklepików" i „kołtuństwa" polskiego, lecz jednocześnie, przy tym samym stoliku kawiarnianym narzekali na to, że u nas ludzie tak mało czytają i tak mało kupują dzieł sztuki. I żaden z nich nie spostrzegał sprzeczności w tych swoich wywodach i żalach, bo jakże ma czytać i kupować społeczeństwo biedne materjalnie? Ale gdy się wskazywało drogi do wzbogacenia się tego społeczeństwa, wszystkojednicy znów drwili i przekpiwali".

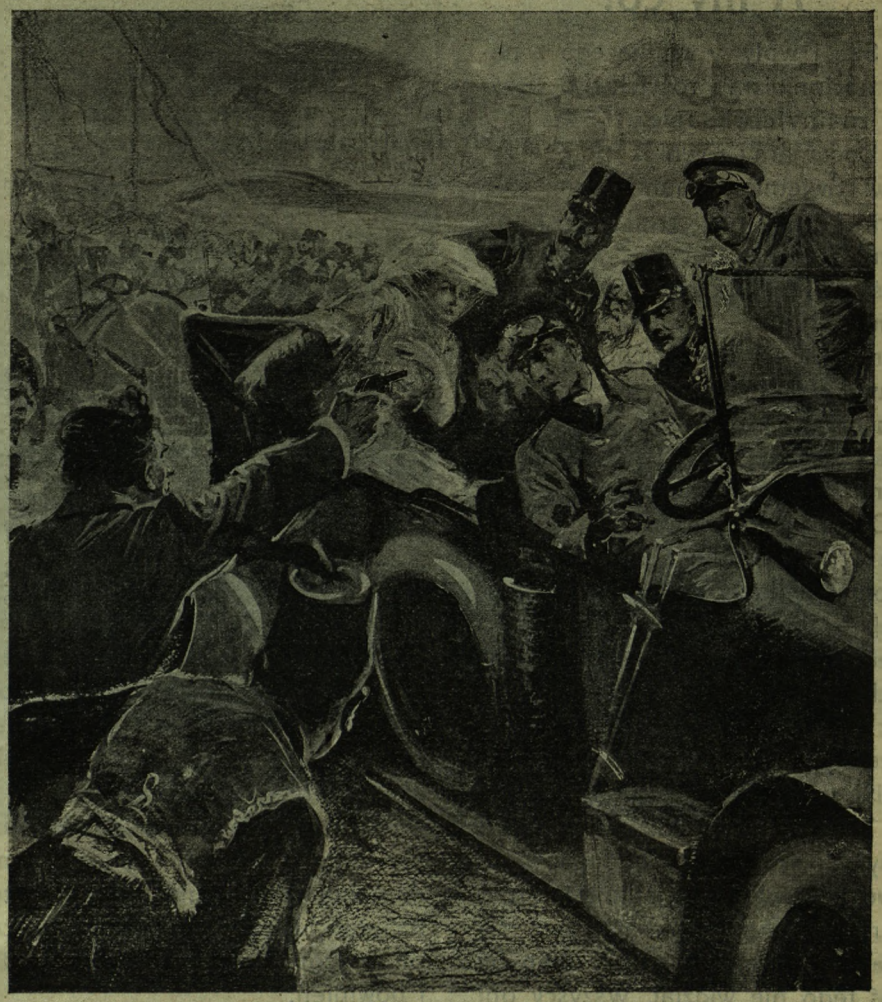

Zamach w Serajewie.

Przez te łąki.

Przez te łąki, przez te pola
Szła tu dola i niedola,
I z długiego kraju szaty
Zasiewały polne kwiaty.

Czarne ziarna szły do ziemi
Łez kroplami rzęsistemi,
Jasne z wiatrem ulatały,
Jak ten motyl, jak ten biały.

A gdy przyszły wiosny gody,
Ziemia siew oddała wiernie:
Gęste na niej ostre ciernie,
Rzadkie kwiaty i jagody...

Marja Konopnicka.

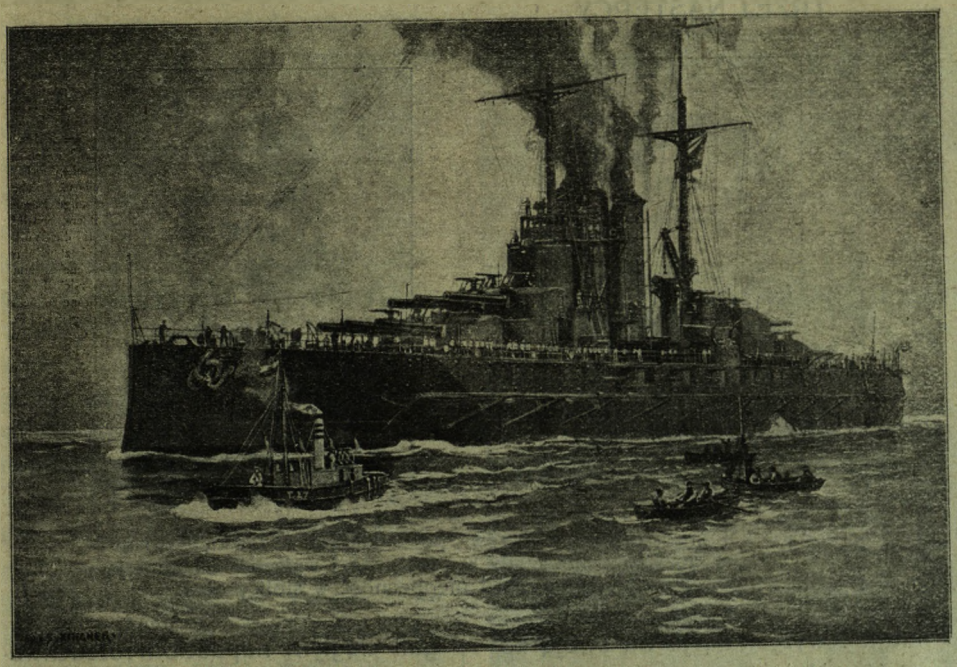

Pancernik austrjacki „Viribus Unitis", na którym przewieziono zwłoki zabitego w Serajewie Franciszka Ferdynanda i jego żony do Trjestu.

„Krzywda".

Trzeba przyznać, że mowa, jaką wygłosił do Polaków podczas Ingresu w Kownie J. E. ksiądz biskup Karewicz, należy do najnieszczęśliwszych. Coraz więcej przybywa głosów, świadczących o tem, jak niesłusznem było stanowisko tego wysokiego dostojnika Kościoła wobec nas. Świeżo „Kurjer Litewski" zwrócił uwagę na to, że biskup żmudzki, mówiąc: „krzywdziliście Litwinów: nie chcieliście dać im placu pod „Saule", zbłądził najfatalniej, opierając się na fałszywych informacjach swych doradców.

Można mieć rozmaite zdanie co do tego, czy rada miejska w Kownie powinna była ofiarować plac pod budowę gmachu dla instytucji, kierowanych przez osobę tego rodzaju, co ksiądz Olszewski. Dość, że „Saule" otrzymało plac właśnie przez Polaków. Wprawdzie za te 2208 sążni kwadratownych gruntu trzeba było miastu zapłacić 871 rubli. Ale i to nie jest naszą winą. Ministerjum spraw wewnętrznych nie zatwierdziło poprzedniej uchwały kowieńskiej rady miejskiej, która oddawała plac ten za 436 rubli 60 kop. Należało więc cenę podnieść, ponieważ widocznem było, że rząd nie uważa zastosowne dopuścić do tego, by kowieńska rada miejska złożyła tak hojną ofiarę na rzecz instytucji litewskiej.

Tak wygląda „krzywda", wyrządzona Litwinom przez Polaków, którą publicznie wyrzucał nam J. E. biskup żmudzki podczas Ingresu.

Są cudne chwile.

Zasłoniły mi się skrzydły motylemi
Mego losu drogi kurzawy i błota,
Zajaśniały ścieżki obiecanej ziemi,
Zapłonęła w duszy do życia ochota.

Przyszły gwiezdne noce, przyszły wonne ranki,
Gdzieś uciekła pamięć, że lato przeminie.
Na to kwietne łąki, żeby wić równianki;
Niby pereł sznurek dzień za dzionkiem płynie.

Słońce świeci złote z błękitnego nieba,
Urągając wolno w świat płynącej chmurze.
Tak mi trzeba światła, tak mi ciepła trzeba...
Niechaj precz ulecą z widnokręga burze.

Niech sobie w oddali straszne grzmoty grają,
Niech sobie złowieszcze błyskawice biją —
Dla mnie moje lasy zielenią się mają,
Dla mnie szemrzą wody, dla mnie ludzie żyją.

Miałam ci ja dosyć biedy, gradobicia,
Szły ku mnie niedole jak szarańczy roje,
Lecz teraz mam życie, teraz pragnę życia,
Niechaj śpiewa głośno młode szczęście moje.

Marja Bohuszewiczówna.

TRZEJ NASTĘPCY.

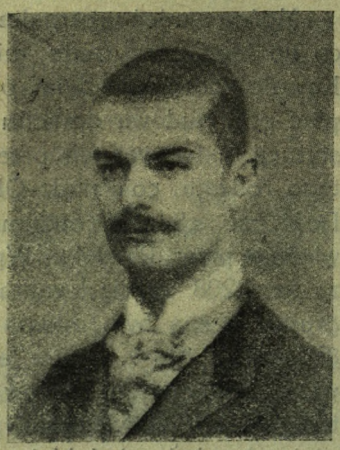

1) Król Aleksander serbski, zabity w 1903 roku w Białogrodzie przez oficerów, pozostających w blizkich stosunkach z obecnym królem Piotrem. 2) Król Piotr serbski złożył obecnie rządy w ręce syna i wyjechał na kurację. 3) Następca tronu serbskiego, książę Aleksander, sprawuje rządy pod nieobecność w stolicy ojca.

„Prichoditie czerez czas".

Pan Leon Misiewicz podał w „Kurjerze Litewskim" następującą wiadomość z Poniewieża:

Panna Halina Mickiewiczówna, chcąc odbyć spowiedź przedślubną, udała się do ks. Gierulisa, który wtedy właśnie zasiadał w konfesjonale. Pomimo jednak, że klęczała dość długo, może z godzinę, ks. Gierulis zdawał się tego nie widzieć, bo nie zwracał na nią żadnej uwagi, wciąż spowiadając tylko z jednej strony konfesjonału. Gdy po skończeniu, zamierzał już wychodzić, p. M. poprosiła go, ażeby byi łaskaw ją wyspowiadać. Na prośbę jednak w języku polskim, otrzymała odpowiedź po litewsku. Jako stała mieszkanka Poniewieża, p. Mickiewiczówna wiedziała dobrze, iż ks. Gierulis, gdy chce, to umie i może wcale poprawnie mówić po polsku, prowadziła więc i dalej rozmowę w tymże języku. Tu jednak spotkała ją wielka niespodzianka, usłyszała bowiem od księdza katolickiego na Litwie dosłownie, co następuje:

— *Prichoditie czerez czas!*

Nie podobało się.

W Księstwie Cieszyńskiem Niemcy stanowią mniejszość ludności. Pomimo to sprawują rządy w tym kraju i wyzyskują je na swoją korzyść. Mało im jeszcze tego. Od lat już wielu nie pozwalają Polakom urządzać w miastach Księstwa żadnych zjazdów. Oczywiście, Polacy nie chcą dobrowolnie wyrzekać się przysługujących im praw i, pomimo gróźb, zwołują do miast Księstwa zloty Sokołów, zjazdy Macierzy Szkolnej, stowarzyszenia młodzieży ekademickiej „Ogniwo" i t. d. Nigdy, bodaj, dotychczas uroczystość taka nie odbyła się spokojnie. Zawsze brutalni Niemcy poturbowali najmniej kilku uczestników polskiego zjazdu. Czasem dochodziło do wielkich awantur. To samo powtórzyło się i w tym roku. Do Bielska, miasta leżącego nad samą granicą Szląska, zwołano zjazd Sokołów. Niemiecka rada miejska postanowiła Polaków nie wpuścić do miasta, tłumy niemieckie przybrały wyzywającą postawę, a kordon żandarmów odciął dostęp do Bielska przez zajęcie mostu na Białce, łączącego miasto z Galicją. Doszło do poważnego starcia; po obydwu stronach kilkadziesiąt osób odniosło mniej lub więcej ciężkie rany. Polacy musieli ustąpić pod naciskiem nietyle przewagi niemieckiej, ile bagnetów żandarmskich.

Był to jednak kres powodzenia niemieckiego. Potulnym dotychczas Polakom zabrakło już cierpliwości. Przez lat tyle znosili oni spokojnie gwałty niemieckie, ulegali ciągłym napaściom rozzuchwalonych Szwabów.

Obecnie stosunki się zmieniły. Ludność polska na Szląsku i w Galicji przybrała wobec Niemców groźną postawę. Zaczęło się od tego, że Polacy nie dali wejść do miasta Żywca wycieczce niemieckiej. To samo powtórzyło się i w innych miejscowościach, a górale polscy przepędzali Niemców, urządzających wycieczki w góry. Gdzieniegdzie Polacy powymawiali mieszkania Niemcom. Później przyszło do manifestacji wrogich dla Niemców i zaburzeń przeciwniemieckich w wielu miastach Galicji. W Tarnowie zniszczono wszystkie sklepy niemieckie.

Niemcy podnieśli alarm głośny: naszych biją. Zanieśli skargi do rządu na gwałty polskie. Jak oni napadali i bili nas, było dobrze, a jak do nich się wzięto, to jest źle.

Takie już pojęcia moralne mają Niemcy.

Austrja i Serbja.

Zabójstwo arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda wywołało silne wzburzenie w sferach rządowych austrjackich. Zwłaszcza ze strony wojskowej odezwały się głosy, domagające się bardzo silnego wystąpienia przeciwko Serbji. Istnieje niewątpliwie w Austrji obóz, który pragnął w sposób radykalny za-

kończyć sprawę serbską przez zabór królestwa serbskiego, obóz ten skorzystał z wstrząsającego umysłami zabójstwa, by zatarg wywołać, lub przynajmniej przyspieszyć. Dziełem zwolenników radykalnego załatwienia sprawy serbskiej jest niewątpliwie to, co w telegramach nosi nazwę „naprężonego nastroju". W rzeczywistości, wszakże, niema czynników dość silnych i poważnych, któreby pragnęły wojny, ani w gronie mocarstw europejskich, ani też wśród małych państw bałkańskich.

Gdyby było możliwe ograniczenie zatargu austrjacko-serbskiego do wojny Austro Węgier z królestwem serbskiem, to wojna taka byłaby już wybuchła w r. 1912, jest wszakże rzecz wiadoma, że kroki nieprzyjacielskie przeciw Serbji wywołałyby w chwili obecnej wojnę między trójprzymierzem a trójporozumieniem. Takiej zaś wojny obecnie nikt sobie nie życzy, to też można ze spokojem przyjmować wiadomości o nastrojach wojennych.

Nie pragnie również wojny Serbja, która zbyt jest wyczerpana niedawnymi zapasami, i rozumie dobrze, że rozprawa z Austrją, która może się stać momentem rozstrzygającym i która niewątpliwie nastąpić musi, powinna być przygotowana odpowiednio, zarówno na drodze dyplomatycznej, jak przez wzmocnienie sił wewnętrznych narodu.

Wszystkie wieści, jakie dochodzą obecnie z Wiednia i Belgradu, powinny jedynie wywołać w umysłach ludzi myślących o polityce przeświadczenie, że w dalszej, lub też bliższej przyszłości, nad Dunajem padną strzały, które staną się początkiem zmian głębokich w życiu Europy wschodniej i że do wydarzeń tych powinny się przygotować wszystkie narody, których losy są związane z przyszłym układem stosunków na całej przestrzeni między morzami Baltyckiem i Egejskiem.

Warszawa w rysunku angielskim.

Poważny tygodnik ilustrowany, londyński „The Graphic" zamieścił rysunek oryginalny, wykonany, jak powiada redakcja, dla niej specjalnie w Warszawie. Ma on przedstawiać dzień Bożego Ciała w największem z miast naszych. U góry artysta naszkicował 25 postaci ludzkich płci brzydkiej i nijakiej, niosących ołtarzyk, chorągiew, kilka świec i dwie latarki — tak wyobraża procesję katolicką. Po środku obrazka widzimy przedstawicieli władzy. U dołu artysta umieścił świat żydowski. Cały rysunek świadczy o tem, że autor jego procesji Bożego Ciała w Warszawie na oczy nie widział, w mieście tem był, może, w przelocie. Procesja katolicka w najmniejszej wiosce u nas wygląda okazalej. A już śmieszni są ci żydzi w strojach niby żołnierskich, rozprawiający przy stoliku na ulicy — mają to być przedstawiciele warszawskiej młodzieży uniwersyteckiej.

Nowe wydawnictwa.

Wilno w fotografji Jana Bułhaka. Nakładem księgarni W. Makowskiego wyszła nowa serja pocztówek, składajaca się z 12 widoków miasta naszego, jego świątyń i gmachów według zdjęć fotograficznych znanego artysty p. Jana Bułhaka. Serja ta obejmuje: 1. Widok z Pohulanki. 2, Kościół św. Jana. 3. Ostra Brama. 4. Dzwon katedralny. 5. Katedra. 6. Widok z Zarzecza na kościoły. 8. Wnętrze kościoła Ś.Ś. Piotra i Pawła. 8. Kościół św. Stefana. 9. Kościół Kalwinski. 10. Ulica Żydowska. 11. Dziedziniec byłego uniwersytetu. 12. Ulica Bakszta.

Dzięki wydawnictwu księgarni W. Makowskiego zyskaliśmy znów cały szereg bardzo ładnych pocztówek.

TRIOLAN mydło przetłuszczone hygjeniczne, jedyne rzeczywiście udelikatniające cerę, uznane i polecane przez najpierwsze powagi lekarskie.

Tow. Akc.

Fryderyk Puls

w Warszawie.

Dostać można we wszystkich perfumerjach, aptekach i składach aptecznych.

Wszystkie księgarnie, ajentury pism i osoby, pośredniczące w odbiorze „Wiadomości Ilustrowanych", prosimy o uregulowanie zaległych rachunków, od tego bowiem zależy dalszy odbiór pisma naszego.

ŻYCIE wasze, POSAGI dla dzieci, **UBEZPIECZAJCIE** w jedynem **POLSKIEM**, opartem na wzajemności, T-wie Ubezpieczeń na tanich i dogodnych warunkach

„PRZEZORNOŚĆ"

Ubezpieczenia mogą być zawierane już od Rb. 100 aż do 300 tysięcy. Składka miesięczna od 11 kopiejek. Z sumy przeznaczonej na dywidendę ubezpieczeni otrzymują 70%. Wszelkich informacji szczegółow. udziela bezpłatnie Biuro Głównej Reprezentacji na Litwę Żmudź i Ruś: WILNO, Botaniczna 1.

Zarządz. Okręg. JÓZEF KOROLEC. Poszukiwani są ajenci.

ANTONINA SADOWSKA.

Siedem gwiazd.

(Dokończenie).

— A czy już jest taki?.. — dopytywał się skwapliwie, dziwił się sam sobie czemu go to tak bardzo obchodzi? Przecież wczoraj jeszcze prawie, że nie znał tej panny, a dziś chce o niej wiedzieć? A może przyszedł taki czas, że radby się ożenić! Trzy dziesiątki za pasem... A dziewczyna bardzo ładna... i zajmująca...

Myśli te przerwała Mania.

— Panie, konie czekają...—zgrabnie, leciutko rozparłszy się na dłoni mężczyzny skoczyła na siodło.

— Nie przypuszczałem, że pani tak dobrze siedzi na koniu.

Nic dziwnego, dużo jeździłam u brata, ale nie było czem się chwalić, z panem zaś bardzo rzadko rozmawiałam.

— Szkoda...

Roześmiała się wesoła i swobodnie.

— Pani lubi sporty?

— W miarę, znajduję bowiem, że rozrywki to tylko dodatek do życia, które powinno się poważnie traktować.

— Ho! ho! czyżby pani pozowała na mężatkę.

Ja na nic nie pozuję.

— Ale jest pani skryta?

— Może. Bo ludzie bardzo szczerzy ze wszystkiemi, nie są właściwie szczerzy z nikim.

A pani lubi wyjątki? prawda? i znów był zły na siebie za to pytanie, i gniewało go, że już pewno jest jakiś wybrany, ktoś drogi sercu dziewczyny.

Tymczasem Ryś naglił:

— Prędzej! prędzej! bo się spóźnimy — więc się zrównali z resztą towarzystwa, ale pomimo, że jechali wyciągniętego kłusa, Krysia już ich oczekiwała na polance.

— Witam państwa! — i odwracając się do Stefana, dodała nieco ciszej — witam na stałym lądzie!

— Ale zajęty zsadzaniem z konia Mani, Stefan nic nie odpowiedział, więc pomyślała...

— Dąsa się jeszcze do czasu! a jednak coraz większy niepokój ją ogarniał, więc chcąc go zagłuszyć — szalała i tylko od czasu do czasu, nieznacznie patrzyła na Stefana tęsknem, pełnem wyrzutu okiem.

Wreszcie zbliżył się i poprosił ją do tańca. Och! czemu silniej [nie objął jej kibić? czemu patrzy tak obojętnie? czemu milczy?

W końcu zawyrokował.

— Śliczna dziś pogoda!

— A jakże! i deszcz nie pada! — odparła ze złością.

— A jednak wczoraj niebo było bardzo zachmurzone.

Odetchnęła radośnie. — Nareszcie! nareszcie, zaczyna tak ważną kwestję... i rozmówią się... pogodzą... on przeprosi... więc słodko i czarująco uśmiechnięta odrzekła:

— Często po chmurnej nocy, wstaje dzień jasny i pogodny...

— Tak jak dziś. Cudowny czas na zabawę!.. majówka bajecznie się udała!.. i posadziwszy pannę na miejscu odszedł — do Mani.

— Boże! Boże! — wyrwało się coś niby łkanie ze ściśniętej piersi dziewczyny, a gołowąs przestępując z nogi na nogą tryumfował.

— Dobrze, że go pani odprawiła! Fanfaron! Zarozumialec! Myślał, że się w nim pani odrazu zakocha! A teraz poszedł, jak nie pyszny i kręci się koło panny Marji... O! o! ja jestem bardzo domyślny i ciągle państwa obserwowałem...

— Czy pan niema już nic ciekawego do powiedzenia?

— Owszem. Kocham panią.

— Ale ja pana nie znoszę, więc proszę się odczepić i czekać, aż panu wąsy wyrosną...

Właśnie zbliżył się znajomy doktór i zapytał:

— Panno Krystyno — a czemu to panny Hali dotąd niema?

Opowiedziała mu o przyjeździe Romana zamiast Hali, on kiwając smutnie głową powtarzał:

— To źle! to bardzo źle! Bo ten kuzyn to człowiek skazany... dni jego policzone, a wtedy ona... Oj! smutna jej dola! wyjątkowo smutna...

... Bo moja gwiazda wciąż od mnie ucieka...— przypomniało się Krysi i bezwiednie spojrzała na Stefana.

Nie odstępował Mani, ani na chwilę i już zaczynano szeptać w około, że będzie z nich dobrana para..!

Oni? Stefan i Mania mieliby się pobrać? Nie! to niepodobna! i miotana szalonym żalem, Krysia zerwała się z miejsca, a potem, nieznacznie, chyłkiem wyszła do lasu.

I plączą się myśli, rozpacz szarpie serce...

Jezus! Marja! więc już wszystko skończone? wszystko? bezpowrotnie?

— Idzie dalej... w głąb lasu.

Już milknie gwar ludzki, cichnie muzyka, tylko drzewa szumią... szumią...

A dziewczyna chyli głowę i pyta:

— Za co? za co? jestem tak strasznie ukarana? za trochę przekory?.. i radaby uciec... daleko... na kraj świata... i módz zapomnieć... zapomnieć!.. Wtem, w dali usłyszała ciche stąpanie.

Wytężyła wzrok.

Szło ich dwoje.

Szeptali.

I chyliła się głowa dziewczyny ku ramieniu mężczyzny, miękką słodką pieszczotą

— Iro! szepnął mężczyzna i osunąwszy się na kolana, pełen zachwytów i rozmarzenia błagał i zaklinał.

— Wszak wiesz, że cię kocham! Iro! Bóstwo ty moje! Natchnienie ty moje! O! bo gdyby nie ty, rzuciłbym muzykę. Lecz tyś mi dodała otuchy w twoich oczach wyczytałem szczęścia prawdziwego wyrazy. Więc bądź moją! moją! na zawsze.

I zwarły się ich usta w gorącym, zda się nieziemskim pocałunku, a potem mężczyzna objął kibić dziewczyny i tulił ją do siebie zazdrośnie.

Odeszli i już dawno umilkły echa ich kroków, a Krysia wciąż stała w miejscu smutna i rozżalona, a potem poszła dalej i nie czuła, że kilka łez spłynęło po jej twarzy, nie czuła, że czas mija i że słońce chyli się ku zachodowi.

Tylko wielki ogromny ból szarpał sercem beznadziejny.

Wreszcie zmęczona przysiadła Krysia na stojącym w środku maleńkiej polanki pieńku.

— Skończone... skończone — plątały się myśli — Stefan już nie dla mnie — i jakby w niemej prośbie wzniosła oczy w górę.

Już był wieczór i na blado-błękitnym niebie migotały gwiazdy srebrzyste, a wtedy dziewczyna szepnęła cichutko.

— Więc wy... wy rzeczywiście prawdę mówicie?..

DEOTYMA (Jadwiga Łuszczewska).

Panienka z okienka.

Starodawny romansik.

(Ciąg dalszy).

Po tak zachęcającej rozprawie, pan Kaźmierz przez dzień cały uwijał się, jak oparzony. Jeździł do klasztoru Oliwskiego, jeździł do Władysławowa, wszędzie odbywał jakieś tajemnicze narady. Nazajutrz także rozsyłał na wsze strony swojego pacholika Maćka, niby hajduka wedle węgierskiej sukni, w rzeczy zaś poczciwego Mazura, który zbytkiem rozumu nie grzeszył, ale miał takie przywiązanie do pana, że na jego rozkaz byłby pewnie próbował, czyby się nie dało przejść pieszo przez morze.

* * *

Nakoniec pod wieczór pan Kaźmierz zaczął przywdziewać strój balowy, nowiuteńki, prześliczny. Nie był on bardzo kosztowny, ale dla skromnego mieszka stanowił i tak niemały wybryk. Mieszek ten, jak pamiętamy, już przed sześcioma tygodniami srodze piszczał, a cóż dopiero teraz? Ach! teraz milczał głuchą ciszą konania. Ale bo też co to wypadło niespodzianych wydatków! Przez te wszystkie tygodnie pan porucznik nietylko już opłacał gospodę, ale i kwiatkami obsyłał pannę siostrę, i pani Florze nosił różne słodkie łakocie, a czasem i jaką wykwintną niewieścią fraszkę, i jej służebnej, Fruzi, nieraz do ręki wetknął upominek. Przy takim drobnym, ale ciągłym szafunku, pieniądze, jakie był przeznaczył na drogę powrotną, rozeszły się niewiedzieć kiedy. Musiał więc brać różne rzeczy „na borg", a potem poszukał pewnego Imci pana Millera, co swoim „geldem" ratował skłopotanych młodzieńców. Markotno mu to było, ale mówił sobie:

— E! Jakoś to będzie. Niech jeno wrócę na wieś, to wezmę się tęgo do harunku i wszystko w mig odrobię. Nie teraz pora na sknerzenie. Raz jeno w życiu człek się żeni. Raz jeno człek naprawdę się kocha.

(Tak zawsze młodzi mówią, zapominając, że są ludzie, co i po dwa razy i po kilka razy się żenią. A co do zadania, ile razy człowiek naprawdę się kocha, tego żaden psycholog jeszcze nie rozwiązał, bo każdemu zakochanemu za każdym razem się wydaje, że to dopiero jest pierwszy raz „naprawdę").

A już jeżeli kiedy nie wypadało „sknerzyć", to niezaprzeczenie dzisiaj. Mógłby w swoim zwykłym porucznikowskim ubiorze, zszarzanym już dosyć długą służbą, wystąpić na tem wspaniałem zebraniu, gdzie chciał pięknie wydać się przed Hedwigą, gdzie miał po raz pierwszy prowadzić ją w taniec, gdzie miał jej powiedzieć takie rzeczy, od których zawisło jego szczęście albo nieszczęście, słowem, w tym najważniejszym dniu swego żywota?

* * *

Przy wrodzonej sobie sprężystości ducha, pan Kaźmierz wprędce zapomniał o troskach, borgach i Millerach, i rozwiązanie tych kłopotów odłożywszy do dni następnych, teraz już tylko cieszył się swoim nowym strojem. I naprawdę miał się czem cieszyć. Gdy Maciek pana ubierał, to aż usta rozdziawiał od podziwu, a ręce mu się trzęsły od radości. Wprawdzie ubiór dzisiejszy, pod względem barw i kroju, był podobny do codziennego, ale z jakże odmiennych pierwiastków stworzony! Zamiast kaftana z łosiej skóry, pan Kaźmierz nadział „szustokor" (tak u nas wymawiano j u s t e - a u - c o r p s), uszyty z mięsistego, kanarkowego „hatłasu", objęty przy szyi obwisłym, koronkowym kołnierzem i takimiż u rąk mankietami. Na piersiach zamiast prostego rzemienia, miał ukośnie przeciągnięty czarny niesokorowy passamon (kupiony w składach pani Flory), u którego po staremu zawiesił kordelas. Hajdawery nie były z grubej rasy, ale z cieniuchnej niebieskiej sajety, ze srebrnymi

na szwach rygielkami. Niziutkie półbucia żółte safianowe lekkością swą dorównywały prawie trzewikom francuskim. Na barkach, zamiast włochatej burki, pan porucznik zawiesił krótki deljunak z ciemno-wiśniowego aksamitu, białą sateniszką podszyty i srebrną pętlicą u piersi zadzierzgnięty. Na głowę nałożył przecudną magierkę, tegoż ranka w mieście zakupioną (Gdańsk bowiem słynął z wyrobu najpiękniejszych magierek); było też to istne pieścidełko, z błębitnem denkiem i wązką bobrową obłóżką, nad którą wystrzelało harde pióro sokole.

Naciągnąwszy nakoniec rękawicy zamszowe, rad z siebie, poszedł do Artusowego Dworu, czyli „Artushofu".

* * *

Gmach ten, jeden z najdziwaczniej pięknych i najpiękniej dziwnych, jakie można spotkać w północnej Europie, był istnym Benjaminem Gdańszczan. Tam oni, przez ciąg długich czasów, nagromadzili zwolna „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty".

Przędza to trochę rażąca pstrokacizną, kwiaty to nieznane innym wyobraźniom, ale zwłaszcza z tej przyczyny, że gdzieindziej nieznane, że z nikąd nienaśladowane, zaciekawiają swoją samorodną niezwykłością i krasą.

Artus-hof, przytulony do ratusza, tworzył z nim razem parę gmachów, królującą nad całym Gdańskiem. Na ratuszu miasto się rządziło, w Artusowym Dworze się bawiło, gdyż był to budynek przeznaczony wyłącznie na wspólne zabawy (jak dzisiejsze resursy), i dość też nań spojrzeć, aby poznać, że urodził się z wesołej myśli.

A najprzód, już sama nazwa przypomina obrazy wysoce poetyczne i, co więcej, pełne społecznego znaczenia; musi ona sięgać owych czasów, kiedy najchciwiej czytywaną księgą był sławny szereg romansów o królu Artusie, przy którego stole wszyscy czuli się równymi, bo stół ten, wycięty w kształt obręczy, nie miał ani miejsc wyższych, ani szarego końca.

W tej przezroczystej przypowieści bardzo zasmakowały miasta republikańskie, dobijające się przez cały ciąg wieków średnich o coraz nowe prawa i swobody. Zasmakował w niej również i Gdańsk hardogłowy, który ją nawet obrał za „motto" do swoich zgromadzeń. Więc w Artus-hofie, jak niegdyś przy „Okrągłym stole", powiedziano sobie, że nie będzie ani miejsc wyższych, ani szarego końca. Gdy dygnitarze koronni, czy szlachta wioskowa — czy patrycjat miejski, czy niższe kupiectwo — czy opasłe majstry, czy wysmukła czeladź — czy swoi, czy cudzoziemcy — wszyscy tu byli względnie równi wobec świętych praw gościnności. Powtarzamy jednak wyraz w z g l ę d n i e, bo i tu, jak zawsze i wszędzie, kto bogatszy, ten więcej przepychu roztaczał — kto mędrszy lub dowcipniejszy, ten więcej miał słuchaczy — kto siedział na urzędzie, ten odbierał niższe pokłony — a im kto piękniejszy, tem więcej zbierał hołdów. Na to i sam Artus już nie mógł poradzić.

Ale z tem wszystkiem bawiono się przednio i w gmachu godnym przesławnego miasta.

Budynek to duży i taki głęboki, że swemi dwiema szczytowemi ścianami wychodzi na dwie odmienne ulice, a jednak w całej swojej długości, szerokości i wysokości zawiera tylko jedną jedyną salę (wyjąwszy parę bocznych, malutkich pokoików, które są razem wnękami wykrojonemi w odwiecznej grubiźnie murów i dawniej służyły za „bufety").

Przy białym dniu sala jest oświecona dosyć dziwnie, na przestrzał, gdyż obie ściany szczytowe składają się prawie wyłącznie z kryształu. Nie są to właściwie ściany, ale — i tu i tam — po trzy okna, olbrzymie jakby łukowe bramy, przedzielone tylko filarami, ozdobne — tak zewnątrz jak i wewnątrz — mnóstwem posągów, godeł i wyzłoceń.

Dwie boczne ściany są nierównie dłuższe; każda z nich także rozpada się na trzy działy; ale tu już niema żadnych okien, tylko wielkie, mocno zaciekawiające freski. W ich treści nie można się dopatrzyć żadnego następstwa ni łączności, ale to nie dziw, kiedy w każdym z tych działów inna gilda gospodarzyła i na własną rękę przyozdabiała swoją połać muru. Jedne kazały sobie malować ustępy z Biblji lub Żywotów Śmiętych, inne z mitologji, a jeszcze inne lubowały się w alegorji. Z owych różnych pomieszanych natchnień wytworzył się cały świat fantazji, prześliczny i, jak cała postać Gdańska, bezwzorowy.

Jest jednak we wszystkich tych obrazach jeden rys wspólny; ze środka wszystkich, przynajmniej główniejszych, wystają gałęziste, p r a w d z i w e rogi jelenie. Gdańszczanie je tam umieszczali na dowód, że posiadają „prawo łowów". Prawo to stanowiące przez długi czas, we wszystkich krajach, wyłączny przywilej najwyższych stanów narodu, srogimi zakazami obwarowane, było dla niższych celem gorącej żądzy i zazdrości. To też miasta, co go się dobiły, nie mogły się niem nacieszyć. I Gdańsk tej uciechy kosztował nie bez dumy, znaczniejsi jego mieszkańcy oddawali się namiętnie owej „pańskiej" rozrywce i, gdzie tylko mogli, rozwieszali trofea myśliwskie. Stąd i w Artushowie owe rogi, które na rozpacz malarzy niemiłosiernie do ich dzieł przybijano. Wprawdzie niektórzy artyści, wybrawszy stosowny przedmiot, zdołali usprawiedliwić w obrazie obecność tego dziwacznego przydatku. I tak, we fresku, poświęconym Djanie, Akteon, już na pół zmieniony w jelenia i wyskakujący z obrazu, bardzo dobre sprawia wrażenie. Ale taki „koncept" nie wszędzie mógł być z równem szczęściem przystosowany. W „Sądzie Ostatecznym", naprzykład, ów jeleń, co smęt-

nem okiem przygląda się duszom potępionych, stanowi zagadkę, nad którą dzisiejsi widzowie napróżno sobie łamią głowę. Tymczasem klucz zagadki taki prosty! Każda gilda chciała mieć swego jelenia, musiał więc jeleń znaleźć się i w Dniu Sądnym. Pytanie tylko, w jakiem usposobieniu twórca obrazu go tam domalował? Czy śmiejąc się dobrodusznie z pustego żarciku? Czy naigrawając się gorzko z „filisterstwa" swoich mecenasów?

Pod rzędem fresków stoją z obu stron ławy ciężkie i wspaniałe, rzeźbione jakby stalle, a przed niemi niemniej pomnikowe stoły. (Dziś, dla potrzeb giełdy, wysunięte na środek sali). Ale najgrubszym tu pomnikiem jest piec olbrzymi, prawdziwy patrjarcha pieców, gmach wielopiętrowy, którego polewa, o wypukłych kwiatach i osóbkach, o barwach rozlicznych ale nieco fałszywych, majaczy nakształt wyblakłej makaty.

Nad tem wszystkiem zaokrągla się przepyszne sklepienie, długie i wysokie, jak u nawy kościelnej, oparte na czterech słupach, zaznaczających środek sali.

Z owych sklepień zwieszają się ozdoby, dziwne i niezaprzeczenie stosowne dla miasta portowego; są to kołyszące się na sznurach, maleńkie modele okrętów, jakie w Gdańsku bywały różnymi czasy budowane, kupione, lub zdobyte. Wszystkie owe karawelle, stradjotki, galeasy i rozliczne inne morskie domy, wyrobione misternie, z maszcikami, żagielkami, okienkami, tworzą nad głową przechodniów nadpowietrzną flotyllę, która dziś jeszcze, choć już mocno sczerniała i zmurszała, stanowi prawdziwe muzeum żeglarskie, a za nowości musiała być nietylko miłą lecz i drogą tym ludziom, co w niej widzieli swoje własne dzieje, przygody i sławy.

Niegdyś też, między rzędami okręcików, były i gęsto rozwieszone pająki („majstersztyki" słynnego gdańskiego mosiężnictwa), które wieczorem setkami świec woskowych rzęsiście oświetlały salę i przez owych sześć bram przezroczych biły na miasto we dwie strony dwoma potokami złotej łuny.

* * *

Pan Kaźmierz znał na wylot cały Dwór Artusowy; od kilku lat nie ominął żadnego większego zebrania i, jako jeden ze świetniejszych tancerzy, nahulał się tam do syta. Nigdy jednak ta sala nie wydała mu się tak piękna, jak teraz; mury jej tchnęły dzisiaj dla niego jakąś tajemniczością, która go i wabiła i przestraszała.

— Tu — mówił sobie — dzisiaj, za moment, wyprognostykuje się cała moja przyszła destynacja.

Na początek wszakże spotkało go nieprzyjemne wrażenie; ów jego wypieszczony ubiór, co w skromnej gospodzie wydawał mu się tak wspaniałym, tu gasł i niknął obok innych. Ale bo co też to przepychów przewijało się po tej sali! Najświetniej błyszczeli nasi klejnotni panowie, ciągle tu przypływający z pszenicą i żytem; ci zwykle po mieście chodzili w swoich podróżnych „marynałkach", ale na zebranie w Artus-hofie wydobywali z sepetów najcenniejsze stroje; wszędzie biły w oczy brokadjowe żupany, guzy jak pączki róż, z samych rubinów, czaple kity, kapiące od złota pasy, wschodnie szable nabijane turkusami, szkarłatne czuhy i ferezje o brylantowych szponach. Było też i mnóstwo cudzoziemców, przynoszących tu okazy wszelkich strojów europejskich, azjatyckich, a niekiedy i afrykańskich, bo czasem na jakim kastylskim okręcie zawinął i jaki Maur o białym zawojowym kapturze. Przychodzili na tę zabawę przez ciekawość, a sami stawali się jedną z największych jej ciekawości. — Pomiędzy właściwymi Gdańszczanami, starszyzna ubierała się z niemiecka lub holenderska, młodzież zaś najczęściej z francuska; zwłaszcza na taneczne zebrania kładziono prześliczne pończochy i trzewiki „pourpointy" z barwnemi wypuszczkami, płaszczyk walezjuszowski, wywijający się z pod leciuchnej krezy, a na głowę toczek zdobny piórem. Ta głowa była fryzowana z niezmiernem staraniem; jedni zakręcali nad czołem dziwnie harde czuby; inni (ci mianowicie, co mieli spadające koronkowe kołnierze) nosili włosy długie i do pół pleców rozpuszczone, według mody, zwanej „kometową"; inni jeszcze z poza lewego ucha zwieszali sobie warkoczyk, ową tak słynną „cadenettę", co się zakończała „galantem", czyli wstążką w motyla zawiązaną; czasem, zamiast warkocza, był to pukiel zwinięty w rurkę długą, ile tylko dało się, najdłuższą. — Ci „kadenettowi" panicze, jako stanowiący ówczesną „złotą młodzież", mieli zazwyczaj wielkie u dam powodzenie. Obecnie u Gdańszczanek najwięcej go miał młody Morsztyn, czasowo tu bawiący patrycjusz krakowski, pono wnuk tego potentata morskiego, co niegdyś, własnemi okrętami, na własną rękę, prowadził handel z Anglją i Hiszpanją. Dzisiejszy Krakowianin nie posiadał już tyle co jego dziad okrętów, ale za to był posiadaczem sławnie pięknych blado-złotych włosów, które uwijał u pukiel długi aż po serce, zakończony, blado-błękitną kokardą. Według przyjętych wówczas mitologicznych zwrotów, mowy, przezwano ten pukiel „strzałą Feba" i twierdzono, że, choć taka miękka, strzała ta niejedno serce już na wylot przeszyła.

(c. d. n.).

Redaktor i Wydawca St. Brzostowski.

Drukarnia „Znicz" Wilno, Ś-to Jańska 19.